

9

36000

[Redacted]

[Redacted]

✓ XII  
TEATR AMATORSKI Nr. 60.

ZYGMUNT PRZYBYLSKI

□ □ □

# GRAJEK

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNYM AKCIE

WYDANIE DRUGIE



142B

884-2

WARSZAWA  
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
1911





## OSOBY:

BONICKI  
EDWARD  
MARYANNA

Rzecz dzieje się w mieście.

(Scena przedstawia pokój umeblowany po staroświecku; w głębi główne wyjście, drzwi z prawej, okno po lewej, przy kominku, na którym ogień się pali, duży fotel).

## SCENA I.

BONICKI (*w szlafroku*).

Jak niema, tak niema. Od pewnego czasu spóźnia się ciągle (*p. ch*). Siódmy krzyżyk na plecach, to i siły wypowiadają jej posłuszeństwa (*niecierpliwi się*). Powinna już wrócić, mnie samemu smutno, nie mam nawet z kim porozmawiać (*z westchnieniem*). Oj... nie mam z kim i gdyby nie pocziwa Maryanna, doprawdy niewiem, co ja bym robił na świecie. Ona dla mnie wszystkim; zna moje kaprysy, przyzwyczajenia, a chociaż czasem pogniewa się i pogdera — to chętnie jej przebaczam — stara, więc i niecierpliwa. Ona przypomina mi tych, których niegdyś miałem, których kochałem. O! bo ja nie zawsze sam byłem. Razem ze mną grzebała ich, razem plakaliśmy na ich grobach. Tęsknimy i modlimy się zawsze razem; kiedy patrzę na Maryannę, to mi się zdaje, że widzę moją Wańdziunię, i mego małego (*rozrzewnia się*). Mój mały. O! niema cię już, duszyczko moja. 14 lat dożył i poszedł za matką. A miałeś ty serce zostawić ojca samego?

(p. ch.). Nie mogę sobie przypomnieć, jakie mój mały miał włosy, jasne czy ciemne, a mnie się zdaje, że jasne. Wczoraj nawet pokłóciliśmy się o to. Jasne miał, jasne, jak jedwab... ja dobrze pamiętam (*patrzy na zegar*): 10 minut po 5-tej, nie długo i ściemniać się zacznie, a ona nie przychodzi (p. ch.). Ile to miałby on dzisiaj lat? zaraz — zaraz... To było w roku pańskim 1800... (*słychać pukanie*). Kto tam? kto tam? to pewno Maryanna (*idzie do drzwi*). To było w roku...

SCENA II.

BONICKI — MARYANNA (*z koszykiem*).

BONICKI.

Nareszcie doczekałem się Maryanny, myślałem że już dzisiaj nie przyjdziecie. Już kwadrans na 6-ą, należało o kolacyi pomyśleć. Tak dłużej być niemoże. Widocznie musieliście sobie kawalera wyszukać.

MARYANNA.

O... o... głodnemu chleb na myśli. A zaraz kawalera. A mnie co potem. Skrzydeł nie mam, żebym na 3-cie piętro jak wróbel wleciała. Jegomość raz na tydzień do kościoła wyjdzie, a narzeka potem, że strach.

BONICKI.

No, no już dobrze — nie gniewam się, ale pamiętajcie, jak jeszcze raz...

MARYANNA.

E, nie marudź jegomość, nie marudź.

BONICKI.

O co to chciałem się was zapytać? Nie mogę sobie przypomnieć...

MARYANNA.

U mężczyzn pamięć zawsze krótka. A więc ja jegomości przypomnę; pewnie onaszego małego?

BONICKI.

Zgadłaś — zgadłaś — tak, o naszego małego.

MARYANNA.

Wiedziałam, wiedziałam.

BONICKI.

No, no — dalej, jakie miał włosy jasne, czy ciemne?

MARYANNA.

Czarne, jak kruk. czarne jak węgiel, czarne jak smoła.

BONICKI.

Otóż właśnie, że nie prawda, bo jasne, jak len.

MARYANNA.

Czarne...

BONICKI.

Jasne.

MARYANNA.

Uparty jegomość, jak kozieł, ja mówię że czarne, czarne, czarne.

BONICKI.

Maryanno — nadużywacie mojej cierpliwości, jak ja mówię, że jasne, to tak być musi. Proszę was, nie sprzeciwiajcie mi się.

MARYANNA.

Ja pamięci jeszcze nie straciłam, dziękować Bogu.

BONICKI.

Zapomniałaś, żeś ją nawet miała.

MARYANNA.

O mężczyźni, mężczyźni. Całe życie był jegomość mantyką.

BONICKI.

Maryanno, tracę cierpliwość, zobaczycie, że ja wam co powiem.

MARYANNA.

A powiedz jegomość, powiedz, to przecie nie będzie pierwsze. Mało się już nasłuchiłam komplementów. Tylko że już więcej słuchać nie będę. Niechaj sobie jegomość wyszuka młodszej, nie będzie się spóźniała, nie będzie taka głupia jak ja, będzie jegomości nadszakiwać i basować, a jak jegomość powie czarne, to i ona czarne, a białe, to białe. Ja i tak nie zginę, a nie znajdę miejsca, to pójdę pod kościół, ale dłużej kaprysów znosić nie będę.

BONICKI.

Ależ, Maryanno, co wy też mówicie? Czyż ja mógłbym obejść się bez was?

MARYANNA.

To dlaczego jegomość wiecznie sprzecza się ze mną.

BONICKI.

Bo... bo...

MARYANNA.

Bo jegomość sam nie wie, czego chce?

BONICKI.

Nie wiem, może masz i słuszność. Dobra jesteś kobieta, chociaż złośliwa.

MARYANNA.

Jegomość spiera się ze mną. Jak mi Bóg miły — ja się nie mylę. Ot nie dalej jak dziś w nocy śnił mi się znowu.

BONICKI.

Co mówisz?

MARYANNA.

Jak jegomości szanuję. Widziałam go, jak żywego, miał na sobie to ubranie, które jegomość po nim na pamiątkę zachowujesz, siedział w tym oto fotelu, blady i smutny, i wyciągał ręce do jegomości. Podeszłam ku niemu i chciałam go ściąsnąć. W jednej chwili znikł, ja przebudziłam się, a jeszcze zdawało mi się, że go widzę. Przeżegnałam się krzyżem świętym trzy razy, i już do rana zasnąć nie mogłam. Z duchami niema co żartować, a chociaż kochałam go jak własne dziecko, zawsze to duch. Jegomość to w duchy nie wierzy — a to źle, to bardzo źle, ale mnie nikt nie przekona. Już to każdy mężczyzna, to niedowiarek, poganin, przyjdzie czas, że i jegomość uwierzy w duchy.

BONICKI.

Wyciągał do mnie ręce. Może on po mnie przychodzi?!!

MARYANNA.

A zaraz — już tam na drugim świecie nie mają nic innego do roboty, jak na jegomości wyczekać! Od 30-tu lat śni mi się często, i zawsze, że ma czarne włosy. No, wierzy jegomość.

BONICKI.

Ha, cóż mam robić, wierzę!

MARYANNA.

Tak to dobrze (*p. ch.*). Cóż jegomość chce na kolację.

BONICKI.

Mnie wszystko jedno.

MARYANNA.

Niechno jegomość usiądzie w tym fotelu przy kominku, na dworze zimno — ja zejść jeszcze do miasta; może się jegomość przedrzemie.

BONICKI.

Tylko nie kaźcie mi długo czekać na siebie. Mnie samemu strasznie smutno.

MARYANNA.

Ale zaraz przyjdę — bądź jegomość spokojny. Do widzenia (*wychodzi*).

### SCENA III.

BONICKI.

Dobre kobiecisko... dobre, uparte ale dobre.

Wyciągał do mnie ręce mój mały! Czemuż to ja we śnie nigdy nie mogę go zobaczyć? Ach gdyby się kiedy zjawił (*za sceną słychać muzykę*). Mój mały! dlaczego ty nie chcesz przyjść do mnie. Widzisz, to do Maryanny znasz drogę, a do mnie, do starego ojca, trafić nie umiesz (*zasypia, słychać muzykę na skrzypcach — pauza — po chwili budzi się*). Co to, zasnąłem? zdawało mi się, że słyszałem jakąś muzykę, tak, tak słyszę ją jeszcze, to nie we śnie — to na jawie. Kto to gra? Maryanno, Maryanno! tej kobiety nigdy niema, jak jej potrzebuję (*muzyka przestaje, pukanie do drzwi*) ktoś puka, kto to być może — kto tam? Proszę wejść — drzwi nie zamknięte.

### SCENA IV.

BONICKI — EDWARD

(*wchodzi, staje w progu ze skrzypcami*).

BONICKI.

Kto jesteś? Czego chcesz tutaj?

EDWARD.

Litości, panie! jeszcze dzisiaj nic nie jadłem.

BONICKI.

Żebrak?!

EDWARD.

Litości, łaski!

BONICKI (*d. s.*).

Taki młody i żebrak (*gł*). To ty grałeś na skrzypcach pod moimi drzwiami.

EDWARD.

Ja, ja panie.

BONICKI.

Fiu, fiu, toś ty artysta, a nie żebrak.

EDWARD.

Co łaska...

BONICKI.

Acha! chcesz zapłaty — a ileż się asanowi należy za tę muzykę?

EDWARD.

Ile pan da: jeszcze dzisiaj nie jadłem, zimno mi.

BONICKI.

A może ty kłamiesz? Już ja widzę z twych oczów, że kłamiesz.

EDWARD.

Nie kłamię... mówię prawdę. Na dworze tak zimno... a ja jeszcze dzisiaj nic nie zarobiłem.

BONICKI.

Przymknij drzwi i przysuń się do kominka. Cóż ciepło tutaj? *tutaj ciepło*

EDWARD.

O bardzo!

BONICKI.

Ileż ty masz lat.

EDWARD.

Zdaje mi się, że czternaście!

BONICKI.

Czternaście? To tak, jak mój mały. Dla czegoż to ci się zdaje? Nie powiedziała ci matka, ile masz lat?

EDWARD.

Matka! niewidziałem jej nigdy — o nigdy! Ona umarła.

BONICKI.

Umarła... Biedny chłopcze... A może ty kłamiesz?

EDWARD.

Nie kłamię.

BONICKI.

A jakiś ty mizerny, wynędzniały, możesz ty chory, panie artysto?

EDWARD.

W szynku powiedzieli, że mam suchoty.

BONICKI.

Co! w szynku? To ty chodzisz do szynku.

EDWARD.

W szynku czasem było mi dobrze, tam ciepło.

BONICKI.

Do szynku znasz drogę, a do kościoła pewno nie chodzisz

EDWARD.

Chciałem chodzić, ale mnie nigdy diad nie wpuścił, bo się bali, żebym w kościele czego nie ukradł.

BONICKI.

A to możeś ty złodziej? No, przyznaj się, złodziej jesteś? Milczysz, aha, złapałem cię, ptaszku, na gorącym uczynku (*targa go za ucho*), Pfe jakiś ty brudny, nie myty. Jabym cię chętnie nawet pocałował, żebyś nie był taki brudny. Gdzież acan mieszka.

EDWARD.

W szynku.

BONICKI.

W szynku i w szynku. No to jak masz na komorne w szynku, to lepiej żebyś sobie wynajął prywatne pomieszkanie. Ale ty wolisz zawczasu wprawiać się do hulanki (*ciągnie go za włosy*). Ty, ty, mały birbancie, gdybym ja był twoim ojcem, już ja bym cię nauczył. Chciałbyś, żebym był twoim ojcem? Co, czemuż nic nie mówisz. Cóż ty myślisz, że mnie nie stać na takiego syna jak ty bratku? Patrzcie państwo, on powątpiewa. A wiesz panie artysto, że ja nie takiego jak ty miałem, nie chodził do szynku, nie był brudny, umiał modlić się i kochać mnie; kiedy patrzę na ciebie, to mi się zdaje, że jego widzę. A jak ci na imię?

EDWARD.

Edward.

BONICKI.

Co co, Edward! Ty kłamiesz, to nie może być, a ty hipokryto — za to, że ci się pozwalam ogrzać, ty sobie ze mnie żartujesz.

EDWARD.

Wszyscy mogą zaświadczyć, że nazywam się

Edward, nikt inaczej na mnie nie woła. Dlaczegoż miałbym kłamać i oszukiwać pana.

BONICKI.

Edward! To nadzwyczajne... mój mały także się Edward nazywał! No nie płacz, nie płacz, przecież ci nic złego nie zrobiłem.

EDWARD.

Pójdę już...

BONICKI.

O! hola, panie artysto! Nie pójdziesz, musisz ze mną zjeść kolację — ja cię nie puszczę... Czy ci źle tutaj, że chcesz odejść.

EDWARD.

Zostanę, kiedy pan każe.

BONICKI.

O... ja nie każę — nie każę. Ja cię proszę o to moje dziecko... mój... mój... Edwardku. Ach, gdybyś ty nie był taki brudny, ucałowałbym cię. Ty kaszlesz biedaku, musiałeś się przeziębic. A gdzież nauczyłeś się tak ładnie grać na skrzypcach, powinszować ci — powinszować.

EDWARD.

W szynku nauczyłem się od muzykantów. Grałem potem państwu do tańca, i dobrze mi się powodziło. Zarobiłem sobie zawsze parę groszy. Miałem na chleb i na nocleg i było mi dobrze... Ale od dwóch tygodni wypędzili mnie.

BONICKI.

O! wypędzili cię?



EDWARD.

Tak wypędzili mnie, wypędzili bez żadnego powodu... Odebrali mi zarobek i wypędzili na ulicę jak psa.

BONICKI.

A bo może co ukradłeś im?

EDWARD.

Nie, nie, nic nie ukradłem nigdy. Nieraz mnie do tego namawiali, ale ja nie chciałem kraść.

BONICKI.

Coś przecie zrobić musiałeś. Pewno źle grałeś do tańca? a co, nie zgadłem?

EDWARD.

Dobrze grałem, a chociaż nie raz ręce mi omdlewały ze znużenia, nie skarżyłem się nigdy. Goście byli ze mnie bardzo zadowoleni, a pan Markus chwalił mnie i często pozwolił nawet darmo przespać się w szynku. Aż tu dwie niedziele temu nie wiem co mi się stało, ale w żaden sposób grać nie mogłem, a na moje nieszcześnie gości było dużo i ciągle chcieli tańczyć. Trząsałem się ze strachu, bo pan Markus groził mi pięściami i krzyczał, że mnie wyrzuci, jak nie będę grać porządnie. Kobiety dały mi wódki — to mi nie pomogło! ja grać nie mogłem; coraz ciszej, ciszej i nareszcie rzuciłem skrzypce na ziemię, a sam płacząc chciałem się schować pod stół. Dali mi znowu wódki, usiadłem na stole... zagrałem, oni zaczęli tańczyć — wszystko napróżno; mnie znowu coś napadło — zerwałem się i zawołałem: zabijcie mnie nawet, ale ja

grać nie będę! nie będę. O! wtedy pan Markus porwał mnie za włosy i odepchnął aż do samych drzwi, kobiety prosiły za mną — napróżno, wyrzucił mnie. Na drugi dzień poszedłem do niego z prośbą, żeby mnie przyjął napowrót, nie chciał nawet słyszeć o tem. Wziął sobie innego do grania. Chodziłem do innych szynków, ale wszędzie miejsca zajęte.

BONICKI.

No, nie bój się, nie będziesz już grać w szynku, przychodź do mnie, znajdziesz tu zarobek. Będziesz przygrywać Maryannie i mnie. Zatem będziesz do mnie codziennie przychodzić?

EDWARD.

O będę! będę. — Ja umiem różne kawalki i wesole i smutne, będę grać, co pan każe, nauczę się wszystkiego.

BONICKI.

A to, ja widzę, ja się waszmości spodobałem. Uniżony sługa jegomości. Ty mi się także podobasz. Zrzuć te lachmany, a ubierz się w tamte. Będę cię mógł uściskać i ucałować... O idź, idź, moje dziecko, mój synu.

EDWARD.

O panie, czy to wszystko jest prawdą. Ja mam tu pozostać tu z panem — i już więcej nie będę się włóczył po ulicach. O mój Boże, ja tego wszystkiego rozumieć nie mogę — ale czuję że to coś nadzwyczajnego. Do mnie nikt tak nie przemawiał — jak pan i dlatego od

chwili, w której tu wstąpiłem... zdaje mi się, że kochać pana będę tak... jak bym kochał moją matkę. O! jaki byłem zazdrosny, kiedy widziałem, jak matki tuliły swoje dzieci — a ja parząc na to, nie miałem do kogo wyciągnąć moich rąk! Prosiłem raz nawet jednej kobiety w szynku, żeby mi pozwoliła mówić do siebie: matko — ale ona wyśmiała mnie.

BONICKI.

No idź, idź, moje dziecko,

EDWARD.

Idę, panie (*wychodzi*).

SCENA V.

BONICKI (*sam*).

Ale co na to wszystko powie Maryanna. Będę miał z nią porządną przeprawę. Z początku pogdera — powoli przyzwyczai się do niego... Zdaje mi się, że wraca, tak to ona, nie chcę, aby go zobaczyła zrobię jej niespodziankę. (*do Edwarda*). Nie wychodź, moje dziecko, dopóki cię nie zawołam. Właściwie nie wiem, dlaczego ja się boję Maryanny.

SCENA VI.

BONICKI — MARYANNA.

MARYANNA.

No cóż, spóźniłam się znowu?

BONICKI.

Ale gdzie tam... nawet przyszlście cokolwiek zawczasie.

MARYANNA.

Dobryś, teraz znowu zawczasie. A któż by tam jegomości dogodził, raz zapóźno, drugi raz zawczasie. Zaraz przyniosę kolację.

BONICKI.

Jeszcze nie teraz, za chwilę... trzeba kupić wina.

MARYANNA.

A to znowu co za zachcianki? Skądże jegomości przyszła ochota na wino?

BONICKI.

Ja lubię wino. — Będą u mnie dzisiaj goście.

MARYANNA.

Jacy goście!

BONICKI.

A zaprosiłem sobie kogoś — cóż to, nie wolno mi?

MARYANNA.

A wolno... wolno... i któż to będzie?

BONICKI.

Panienska!

MARYANNA.

O!... o!... o!... a to co znowu!

BONICKI.

Nie wierzysz, Maryanno?

GRAJEK.



2



MARYANNA.

A dla czegoż nie — nie znam to jegomości. Panienska — proszę, proszę... a to pewnie ta z przeciwka z drugiego piętra... bo to ja nie wiedziałam jak jegomość do niej oczy robił?

BONICKI.

Ja oczy robiłem?

MARYANNA.

A jak się jegomość przy oknie krygował. Ja to dobrze widziałam, a i nasza sąsiadka także to widziała, kilka dni temu mówiła do mnie że jegomość musi być kobieciarz.

BONICKI.

Ja kobieciarz? i to sąsiadka mówiła?

MARYANNA.

Jak mnie tu jegomość żywą widzi, tak nie kłamię... Fe... fe, to brzydko, w tym wieku brać się do nie swoich rzeczy... paskudny jegomość

BONICKI.

A... a... jak mi się to podoba. Otóż na złość sąsiadce i tobie będę się zalecał do tej panienski z przeciwka. Dla nabrania animuszu muszę wypić kieliszek wina.

MARYANNA.

A chociażby jegomość wypił całą beczkę, to na nic się nie zda. Fel!... W imię Ojca i Syna, czy słyszał kto coś podobnego.

BONICKI!

Jak widzę, to Maryanna zazdrosna o mnie.

MARYANNA.

Co? zazdrosna o jegomości? Panie święty — także byłoby o kogo; śliczny kawaler z ósmym krzyżykiem na karku.

BONICKI.

A przecież przypomnij sobie Maryanno... że dawniej, niegdyś... ja nie byłem taki jak dzisiaj, że i ty nie byłabyś do mnie w ten sposób przemawiała, jak w tej chwili. Byłem ci wdzięczny żeś tak serdecznie czciła pamięć moich najdroższych... wdzięczność przywiązała nas do siebie tak silnie, że jedno bez drugiego obyć się nie mogło. Bo widzisz Maryanno — w życiu trzeba coś kochać koniecznie, a ten, kto nigdy nikogo i nic nie kochał, to tak jak pusty dzwon.

MARYANNA (*rozrzewniona*).

A wiele przynieść tego wina?

BONICKI.

Pamiętasz, Maryanno?

MARYANNA.

Idę po wino. (*idzie i wraca, całuje w rękę Bonickiego*) Jegomość ma serce, jak mało kto na świecie (*wychodzi*).

## SCENA VII.

BONICKI (*sam po chwili*)

Zapominam o moim małym (*wesoło*) Edwardkn, chodź, chodź.

SCENA VIII.

BONICKI — EDWARD (*ubrany schludnie*).

BONICKI.

Tak, tak. Teraz jesteś mój, teraz mogę cię ucałować (*całuje go*). Ach, jakiś ty zimny.

EDWARD.

Mnie gorąco.

BONICKI.

A ręce i twarz masz zimne, jak lód (*bierze go na kolana*). A będziesz mnie kochać?

EDWARD.

Z całej duszy... Kocham pana już teraz...

BONICKI.

O... to dobrze... ach gdybyś ty wiedział, jak jestem szczęśliwy, zdaje mi się, że to mój mały, mój syn... a tak jesteś do niego podobny, latami, imieniem, że wszystko wydaje mi się snem prawdziwym. Ale dlaczego ty jesteś taki zimny. Jutro sprowadzę doktora.

EDWARD.

O! doktor mi nic nie pomoże, to suchoty — na które umrzeć trzeba... tak mi powiedzieli. Nieraz zdaje mi się, że już umieram.

BONICKI.

O, żyć musisz, żyć będziesz, a któżby mi grał na skrzypcach, ktoby mi przypomniał mego synka?

EDWARD.

Czy pan chce, abym grał?

BONICKI.

Jak ty chcesz.

EDWARD.

Będę grać (*bierze skrzypce, zaczyna grać, upuszcza je na ziemię*). Znowu nie mogę.

BONICKI.

O nie bój się — ja cię za to nie wypędzę... Nie graj.

EDWARD.

Nie wiem, co mi jest — ale tu w głowie tak mnie pali... a zimno mi, że drzę cały.

BONICKI.

Chodź do mnie, ja cię ogrzeję. Moje drogie dziecko... jutro grać będziesz... Dziś jesteś zmęczony, zziębnięty, ale odpoczniesz sobie, położysz się spać wcześniej. Widzisz, że ci u mnie dobrze będzie. Bądź spokojny, ja zastąpię ci matkę, ja cię nie wysmieję, jak tamta kobieta, o nie... Możesz do mnie mówić jak chcesz, a ja ci będę mówić — «mój mały».

EDWARD.

Dobrze, dobrze, ach jak mi zimno! (*chwytą się za piersi*) a tu pali ciągle. Ale to nic, to nic, Gdy mi mówili w szynku że umrę, tom płakał zawsze, a teraz to płakać nie mogę.

BONICKI.

Ja ci zastąpię matkę... wszystkich, wszystkich.

EDWARD.

Nie wiem co mi jest. A do kościoła weźmie mnie pan? mnie nawet pacierza nie nauczyli.

BONICKI.

Ja cię nauczę modlić się.

EDWARD.

Dziękuję...

BONICKI.

Tak, ja cię nauczę modlić się i Maryanna uczyć cię będzie. Ty nie znasz Maryanny... dobra kobieta, polubisz ją tak jak ja, będziemy cię oboje wychowywać, ale staraj się moje dziecko być dla niej grzeczny? co? No, dlaczego nie odpowiadasz? cóż to zasnąłeś — zasnął. A jakież on zimny (*całuje go*). Nie chcę, aby spał. Edwardku, Edwardku, obudź się, moje dziecko, zjemy kolację... potem usniesz. Co to, on nie oddycha (*wstaje i sadza na fotelu Edwardka, który umiera*). Na Boga, czy ja śnię... słyszysz, obudź się! Chryste Jezu... on nie żyje. Maryanno! Maryanno! Maryanno! tracę zmysły!

SCENA IX.

BONICKI — EDWARD (*na fotelu*).

MARYANNA (*wchodzi*).

Jest wino!

BONICKI.

Maryanno! patrz widzisz?

MARYANNA.

Chryste Jezu — nasz mały. Dla Boga, panie, co to ma znaczyć? To duch!

BONICKI.

To nie on, to nie on, to drugi sierota bez matki. Przyszedł tu pod moje drzwi, ubrałem go i chciałem uznać za syna... O wielki Boże! może on śpi tylko.

MARYANNA.

Tak, śpi snem wiecznym.

BONICKI

Nie żyje, o mój Boże, mój Boże.

MARYANNA.

Cicho, cicho, jegomość. Jeżeli nie miał matki to może i lepiej... Będzie jeden mniej z nieszczęśliwych na świecie... ot lepiej uklękniemy i pomódlmy się za jego duszę. (*klękają oboje*).

ZASŁONA SPADA.



271

A